



Z wojny ros.-jap.: Żołnierze japońscy przy grzebaniu trupów.

kości 200 milionów funtów szterlingów; 2) ustąpienie Sachalinu i półwyspu Liaotunskiego na własność Japonii; 3) oddanie Japonii kolei żelaznej mandżurskiej od Charbina począwszy; 4) zwrot Mandżurii Chinom bez żadnych z tego tytułu pretensyj; 5) uznanie japońskiego protektoratu nad Koreą; 6) zneutralizowanie Władywostoku, w zamian za które Japonia może się zobowiązać do niewznoszenia nowej twierdzy w Porcie Artura.

Treść tych warunków nie pozwala istotnie wróżyć wielkiego powodzenia misji p. Wittego. Zdaje się, że zjazd w Björkö niewiele się przyczynił do wzmocnienia optymistycznych zapatrywań. Poseł Takahira przynajmniej, w przedstawieniu skierowanemu w piątek do prezydenta Roosevelta wyraził obawy, że interwencja Niemiec udaremnić może porozumienie rosyjsko-japońskie. Zdaje się, że dyplomaci Wschodzącego Słońca wiedzą dobrze, czego się można spodziewać po mężach stanu z nad Sprei.

Okropności wojny nowoczesnej, opisywane w listach oficerów rosyjskich lub opowiadane przez tych, którzy już powrócili z pola wojny, są tak straszne i tak przerażające swą grozą, że włosy stają na głowie, kiedy się je czyta lub słyszy.

Pewien oficer rosyjski, do dziś dnia przebywający na polu wojny, opisując swoje wrażenia na polu walki, pisze między innymi:

„Zdarzyło się wieczorem po jednej z przegranych, jak zwykle, bitew. Znajdowaliśmy się w obozie. Dokoła ponure twarze, drżące spojrzenia, ranni i śmiertelnie wyczerpani ludzie. Na dobytek nie ma co jeść. Ani okruszyny chleba, ani szczapy drzewa na ogień. Nawet lazaretu w pobliżu niema. Furgony przepadły literalnie, jak pod ziemię. Nikt nie wiedział, gdzie się podziały. Dwaścieścia pięć stopni mrozu ściąga skórę, która pęka i krwawi. Krew w żyłach zdaje się unosić kawałki lodu. Kłuje i piecze.

W takich warunkach pozostać bez ruchu lub usnąć — to pewna śmierć. Wielu, bardzo wielu znalazło ją tej nocy. Przedstawcie sobie, jeżeli możecie, nasze okropne położenie. Wyobraźcie sobie dziesięć tysięcy ludzi, stłoczonych w jedną wielką, nieruchomą kupę. Ani jeden okrzyk, ani jedno słowo nie wydobywa się z tej ogromnej masy ludzkiej. Nawet nikt szeptać nie może i nie chce.

Maroderzy, którzy dowlekli się do obozu, opowiadali, że dokoła słyszeli straszliwe jęki rannych, którzy, oderwani od swych oddziałów, pozostali na tych pustkowiach na straszną, mroźną i czarną noc.

Chcieli ich sprowadzić do obozu, ale nie mieli nic, na czymby najsłabszych zanieść można było. Musieli ich tedy zostawić ich straszemu losowi. Cóż robić? — Jak i czem pomódz tym nieszczęśliwym?

— Musimy wyszukać rannych! — krzyknąłem. Nie możemy pozwolić, aby umierali tam na tych strasznych polach. Kto idzie ze mną?

Odpowiedzi nie ma. Zwracam się do pułkownika. Ten wrusza ramionami. Mówię do generała. Ten w milczeniu odwraca się do mnie — plecyma. Zrozpaczony zwracam się wreszcie do lekarza wysokiej rangi.

— Cóż zrobimy z tymi ludźmi? Nie mamy ani noszów, ani lekarstw, ani instrumentów. Nic nie mamy. Dlatego zostaw ich pan w spokoju! Dobranoc!

Ani jednego słowa współczucia! Sprawiedliwość i litość zamarły dawno w tych ludziach. Nikt nie wzdraga się już przed okropnością. Nic, tylko tę-

pa, dzika obojętność. Co zrobić? Czy zawsze tak jest na wojnie? Wszyscy ci generałowie, pułkownicy, żołnierze, myślą o jednym — że jutro i oni pozostaną tak na dzikiem, bezludnym pustkowi, jak ci tam oto, jęczący i przeklinający.

Z trudem udało mi się zebrać stu ludzi. Noc ciemna, aż czarna. Idziemy przez godzinę z zapalonymi pochodniami, ale jęki rannych wskazują nam drogę lepiej, niż światło pochodni, które wiatr lodowaty zaciekle szarpie. Co chwila odskakujemy jak spłoszone konie od kupy skostniałych trupów.

Nagle czuję, że coś mnie chwyciło za nogę i nie puszcza z miejsca. Dwoje rąk obwinęło się koło mojej nogi tak silnie, jak żelazna obręcz. Zęby wgryzły się w cholewę mego buta i usiłują go rozszarpać. Wszystko to wśród wojennego jakiegoś ryku, niby szczekanie psa.

Przerażony głośno krzyknąłem. Nadbiegli moi ludzie. Przy blasku pochodni ujrzeliśmy strasznie pokaleczony tułów bez nóg.

Ponieważ nie można się było wyrwać z straszego ucisku jego rąk, żołnierze moi dobili go kolbami. Przeżyłem tę chwilę i dziwię się temu. Opisać jej nie mogę.

Serce moje przestało bić. W głowie zawirowały jakieś okrutne myśli, jak w gorączce. Zebrałem natężone siły i krzyknąłem: Róbcie koniec, na miłość Boga! Chodźmy!

Już zawracałem, kiedy uszu moich doszedł krzyk i jęk jeszcze straszniejszy, niż te wszystkie odgłosy, które tu słyszał było dokoła.

Nie mogłem się oprzeć temu krzykowi i wbrew woli skierowałem się w stronę, z której mnie dochodził.

W ponurem, drgającym świetle pochodni, które zaledwie przenikało ciężką ciemność nocy — ujrziałem przed sobą — to nie była halucynacja ani gra wyobraźni — dziesięciu, dwudziestu, stu, może dwustu ludzi, którzy zupełnie nadzy, wywijając rękami i stojąc straszne grymasy, wykrzykiwali okropne przekleństwa i tańczyli zapamiętale. Tak jest, tańczyli. Nadzy, połamani, zbryzgani krwią od stóp do głów, tańczyli i przeklinali. Jedni, bez nóg, pełzali na rękach, inni, bez rąk, skakali na jednym miejscu, wywijając strzępami ciała, które im u łopatek wisiały. Inni wreszcie, zdrowi na ciele, uzbrojeni w karabiny, rewolwery i szable, rzucali się na towarzyszy i przypuszczali straszne ataki do brył kamieni, płacząc i śmiejąc się na przemian.

Nie poznali nas. Wszyscy rzucili się na nas, wołając: Idźcie precz! Nie zbliżajcie się! Nie zbliżajcie się! Idźcie precz!

Wszyscy ulegli masowemu szałowi. Po chwili huknął z pomiędzy nich strzał. Jeden z moich ludzi zwinął się w kłębek, podskoczył i upadł nieżywy. Po nim, drugi, trzeci... Kazałem pogasić po-



Z wojny ros.-jap.: Pole walki, zasłane trupami, w kilka godzin po bitwie na pagórku Putiłowu.